

Numer katalogowy - 00147
Autor - Gerhardt Hauptmann
Tytuł - **Dróżnik Thiel**
Opracowanie - [Zbyszek Kowalewski](#)

Co niedziela dróżnik Thiel bywał w kościele w Neu Zittau, z wyjątkiem tych świątecznych dni, w których miał służbę albo był chory i leżał w łóżku.

W ciągu dziesięciu lat dwukrotnie zdarzyło mu się chorować. Raz, gdy bryła węgla spadła z tendra przejeżdżającej lokomotywy uderzyła go i ze zgruchotaną nogą rzuciła go do rowu przy torze, drugi raz, gdy butelką po winie, którą cisnął ktoś z pędzącego pociągu pospiesznego, dostał prosto w piersi. Poza tymi dwoma nieszczęśliwymi wypadkami nic, jeśli tylko nie był na służbie, nie mogło go powstrzymać od pójścia do kościoła.

Przez pierwszych pięć lat drogę z Schon-Schornstein, niewielkiej osady nad Sprewą, do Neu - Zittau musiał przemierzać samotnie.

Aż pewnego dnia zjawił się w towarzystwie wątej niewiasty o chorowitym wyglądzie, która nie bardzo jak mówili ludzie, pasowała do jego herkulesowej postury. I z kolei pewnego pięknego, niedzielnego popołudnia przed ołtarzem kościoła uroczyście podał rękę tej osobie na znak dozgonnego związku. Dwa lata siadywała młoda, słabowita kobieta u jego boku w kościelnej ławie; dwa lata pochylała swoją delikatną twarz o zapadłych policzkach obok jego ogorzałej twarzy ku prastaremu śpiewnikowi; a potem nagle dróżnik znów siedział sam, jak przedtem. Jednego z minionych dni rozdzwoniły się pogrzebne dzwony: oto całe wyjaśnienie.

W dróżniku, jak zapewniali ludzie nie dostrzegano się żadnej zmiany. Guziki jego schludnego, niedzielnego munduru były jak zawsze wyczyszczone do połysku, rude włosy starannie wypomadowane i po wojskowemu uczesane z przedziałkiem, jak dawniej, tylko że chodząc, pochylał nieco szeroki, owłosiony kark i słuchał kazania lub śpiewał jeszcze żarliwiej, niż czynił to uprzednio.

W powszechnej opinii śmierć żony niezbyt boleśnie go dotknęła; i opinia ta znalazła potwierdzenie, gdy po roku Thiel ożenił się po raz drugi, mianowicie z tęgą i krzepką kobietą, dziewczką od krów z Alte - Grund.

Także pastor, gdy dróżnik przyszedł dać na zapowiedzi, pozwolił sobie wyrazić pewne wątpliwości:

- Co to, znowu chce pan się żenić?
- Ze zmarłą nie mogę gospodarzyć, panie pastorze!
- Ano pewnie... ale chodzi mi o to... że tak panu spieszno...
- Chłopak mi się marnuje, panie pastorze.

Żona Thiela umarła w połogu, a chłopiec, którego wydała na świat, żył i miał na imię Tobiasz...

- Pamiętaj, masz się nim opiekować!
- Póki życia, zrobię dla niego wszystko tak, jakbyś ty się nim zajmowała...
- Przyrzeknij mi to!
- Przysięgam!

- Ach tak, chłopak - powiedział duchowny i zrobił gest, który świadczył wymownie, że teraz dopiero przypomniał sobie o małym.

- To zmienia postać rzeczy... Co się z nim dzieje, kiedy pan jest na służbie?

- Omal mi się nie spalił, kiedy go oddałem pod opiekę Staroniowej. Innym razem, jak usnęła upuściła go i stoczył się jej z kolan na ziemię. Szczęściem tylko sobie nabił guza. Dalej tak nie może być. Chłopak jest słabowity i musi mieć specjalną opiekę.

Nowej parze, która co niedziela przychodziła teraz do kościoła, na oko ludzie nie mieli nic do zarzucenia. Dawna dziewczka od krów wydawała się stworzona dla dróżnika. Była ledwie o pół głowy niższa od niego i górowała nad nim obfitością kształtów. Tak samo, jak on, miała grubo ciosaną twarz, tylko, że jej twarzy - w przeciwieństwie do oblicza dróżnika - brakowało duszy.

- Jeśli Thiel pragnął mieć w drugiej żonie niestrudzoną robotnicę, wzorową gospodynię, to jego pragnienie spełniło się w sposób zaskakujący. Biorąc jednak tę kobietę nie wiedział, że wraz z nią wzięł sobie trzy rzeczy: twarde, władcze usposobienie, swarliwość i gwałtowną popędliwość. Po

upływie pół roku wszyscy w osadzie wiedzieli, kto rządzi w domu dróżnika. Żalowali Thiela:

- Taką "gadzinę" trzeba przymusić do uległości, jeśli nie da się inaczej, to biciem !

- Trza by ją wygrzmocić, ale tak, żeby do sądnego dnia popamiętała...

- Znaleźliby się tacy, co by jej porządnie zalali sadła za skórę...

- To babsko ma szczęście, że dostało za męża człowieka tak pogodnego, jak Thiel!

Podróżny:

- Ale Thiel, mimo muskularnych ramion nie potrafił jej wygrzmocić. Tym, co ludzi oburzało, chyba niewiele się przejmował. Nie kończące się kazania żony znosił zwykle bez słowa, jeśli już odpowiadał, to powolne tempo, jak i cichy, chłodny ton jego przemowy kontrastowały nader osobiście ze skrzekliwym jazgotem żony. Wydawało się, że świat zewnętrzny nie mógł zbyt mu dokuczyć: można było sądzić, że nosił w sobie dobro, którym z nawiązką kompensował wszelkie zło, jakie mu wyrządzano.

Mimo niezmaconej flegmy miewał jednak chwile, kiedy nie było z nim żartów. Zdarzało się tak zawsze z powodu rzeczy, które dotyczyły Tobiaszka. Jego dziecięco łagodny, ustępliwy charakter nabierał wówczas znamion siły, której nie miała się przeciwstawić nawet tak nieposkromiona natura Leny. Chwile wszakże, w których ukazywał tę stronę swego charakteru, stawały się z czasem coraz rzadsze i w końcu całkowicie zanikły. Bierny opór, jakim do pewnego stopnia przeciwstawiał się despotyzmowi Leny w pierwszym roku małżeństwa, również zanikł w drugim. Po kłótni z nią, nie szedł już na służbę z dawną obojętnością, jeśli jej przedtem nie ułagodził. W końcu nierządno zdobywał się na prośbę, żeby nie chowała urazy.

Samotny posterunek wśród brandemburskich lasów sosnowych nie był już dla niego, jak dawniej, najmiłszym miejscem pobytu. W ciche, serdeczne rozmyślenia o zmarłej żonie wdzierały się myśli o żywej. Bez chęci, jaką odczuwał w pierwszym okresie, lecz z gorączkowym pośpiechem ruszał w drogę do domu, często licząc przedtem godziny i minuty do końca służby.

Ten człowiek, którego z pierwszą małżonką łączyła raczej jedność duchowa, z mocy nieokiełzanych popędów dostał się pod władzę drugiej żony, aż wreszcie stał się we wszystkim niemal całkowicie od niej zależny. Czasami odzywały się w nim wyrzuty sumienia. Z powodu takiego obrotu rzeczy musiał uciekać się do kilku niezwykłych środków zaradczych, żeby się z nimi uporać.

Na przykład swoją budkę dróżnika i odcinek toru, który miał dozorować, uznał w duchu niejako za poświęconą ziemię, oddaną wyłącznie kultowi pamięci zmarłej.

Pod rozmaitymi pretekstami udało mu się dotychczas nie dopuścić, by żona mu tam towarzyszyła. Miał nadzieję, że nadal będzie mu się to udawało. Nie wiedziałaby, w którą stronę się obrócić, aby odszukać jego budkę, nie znała nawet jej numeru. Skrupulatnie dzieląc czas, jakim rozporządzał, między żywą a zmarłą, Thiel istotnie uspokajał swe sumienie. Często wprawdzie, szczególnie w chwilach samotnego skupienia, gdy był doprawdy blisko związany z nieboszczką, widział swą obecną sytuację w prawdziwym świetle i czuł do niej wstręt.

Podczas dziennej służby duchowe obcowanie ze zmarłą ograniczało się do mnóstwa miłych wspomnień z lat ich pożycia. W ciemności natomiast, gdy wśród sosen i na torach szalała burza śnieżna, w głębokiej nocy przy blasku latarni, budka dróżnika zamieniała się w kaplicę.

Mając przed sobą wyblakłą fotografię nieboszczki, otwarty śpiewnik i Biblię, na zmianę czytał i śpiewał przez całą długą noc., z przerwami tylko na przejeżdżające pociągi, i popadał w ekstazę, nawiedzany przez wizje, w których widział zmarłą przed sobą, jak żywą. A posterunek, zajmowany przez dróżnika nieprzerwanie od bitych dziesięciu lat, z racji swego odosobnienia podsycał jego mistyczne skłonności.

Oddalona, w którąkolwiek by się szło stronę, co najmniej trzy kwadransy drogi od jakiegoś ludzkiego osiedla, budka leżała wśród lasów tuż koło przejazdu kolejowego, którego szlabany miał obsługiwać dróżnik. Latem upływały dni, zimą tygodnie, kiedy to poza dróżnikiem i jego kolegami nikt nie przechodził przez tory. Pogoda i przemienność pół roku z ich cyklicznymi nawrotami stanowiły niemal jedyne urozmaicenie na tym odludziu.

Zdarzenia, które prócz obu nieszczęśliwych wypadków przerywały na ogół regularny tok służby Thiela, dałoby się policzyć na palcach.

Cztery lata temu przemknął tędy pociąg specjalny, którym cesarz udawał się do Wrocławia.

Którejś zimowej nocy pociąg pospieszny przejechał sarniaka.

W pewien upalny dzień lata dróżnik w czasie obchodu znalazł zakorkowaną butelkę wina, która parzyła przy dotknięciu, zawartość uznał za bardzo dobrą, bo po wzięciu korka od razu trysnęła fontanna, a więc wino sfermentowało w okamgnieniu. Ta butelka włożona przez Thiela w wody płytkiego przy brzegu leśnego jeziora, żeby ostygła, w jakiś sposób zniknęła, tak że jeszcze po latach ubolewał nad jej stratą.

Niejakiej rozrywki dostarczała dróżnikowi studnia na tyłach budki. Od czasu do czasu pili z niej zatrudnieni w pobliżu robotnicy kolejowi i telegraficzni, a przy okazji wywiązywała się krótka rozmowa.

Niekiedy przychodził też leśniczy, żeby ugasić pragnienie.

Tobiasz rozwijał się bardzo wolno, dopiero pod koniec drugiego nauczył się jako tako mówić i chodzić. Ojcu okazywał ogromne przywiązanie. Gdy stał się rozumniejszy, przebudziła się na nowo dawna miłość ojca. W miarę, jak rosła, malała miłość macochy do Tobiasza, a nawet przerodziła się w jawną niechęć, gdy po roku Lena też urodziła chłopca.

Odtąd na Tobiasza przysłyły ciężkie czasy. Szczególnie pod nieobecność ojca bywał nieustannie dręczony i musiał bez najmniejszej nagrody oddawać swoje wątłe siły na służbę małego krzykacza, co go coraz bardziej wycieńczało. Jego głowa nabrała niezwykłych rozmiarów rude włosy i twarz blada jak kreda sprawiały niemiłe i w połączeniu z całą żalostną postacią godne politowania wrażenie.

Kiedy zapóźniony w rozwoju Tobiasz z małym, tryskającym zdrowiem braciszkiem na rękę włókł się nad Sprewę, w wiejskich chałupach odbywały się złorzeczenia, z którymi jednak nikt nie śmiał wyjść na zewnątrz. A Thiel, którego przecież sprawa przede wszystkim dotyczyła, zdawał się jej nie dostrzegać. Nie chciał też rozumieć aluzji, jakich nie szczędzili mu życzliwi sąsiedzi.

W czerwcowy ranek Thiel koło siódmej wrócił ze służby. Na jego widok żona jak zwykle zaczęła lamentować i nie tak prędko zakończyła to powitanie. Dzierżawa pola, które dotychczas pokrywało zapotrzebowanie rodziny na ziemniaki została przed kilkoma tygodniami wypowiedziana, a Lenie przez ten czas nie udało się znaleźć innego. Aczkolwiek staranie o pole należało do jej powinności, Thiel musiał raz po raz wysłuchiwać, że to wyłącznie jego wina, jeśli w tym roku trzeba będzie za ciężkie pieniądze kupić dziesięć worków ziemniaków. Dróżnik burknął tylko i nie zważając na gadaninę Leny poszedł zaraz do łóżka swego pierwородnego, które dzielił z nim w ciągu nocy wolnych od służby.

Tutaj usiadł i z troskliwą miną w poczciwej twarzy przyglądał się śpiącemu dziecku, przez jakiś czas odpędzał od niego natrętne muchy, a w końcu zbudził chłopca. W niebieskich, głęboko osadzonych oczach zbudzonego Tobiasza malowała się wzruszająca radość. Chwycił spieszenie ojca za rękę, kąciki ust rozchyliły się w żalostnym uśmiechu. Thiel od razu pomógł mu włożyć skąpe ubranie, po czym nagle, jakby cień przebiegł przez jego twarz, gdy na prawym, z lekka nabrzmiałym i zaczerwienionym policzku dziecka spostrzegł białe ślady palców.

Kiedy przy śniadaniu Lena ze zdwojonym zapałem powróciła do poruszonej uprzednio sprawy pola i ziemniaków przerwał jej, oznajmiając, że zawiadowca odcinka odstąpił mu za darmo kawałek ziemi przy torach w pobliżu, ponieważ dla niego, zawiadowcy, był jakoby położony zbyt daleko. Lena z początku nie chciała w to wierzyć. Stopniowo jednak jej wątpliwości ustępowały i wpadła w wyraźnie dobry humor. Sypała jak z rękawa pytaniami o wielkość i jakość gruntu jak też o inne szczegóły, a usłyszawszy, że na dodatek rosną tam jeszcze dwa karłowate drzewka owocowe, nie posiadała się z radości.

Gdy już nie było o co wypytywać, a dzwonek u drzwi sklepikarza, który, nawiasem mówiąc, słyszało się w każdym domu tej osady, rozbrzmiewał nieustannie, pobiegła, żeby rozgłosić wszystkim nowinę. Podczas gdy Lena wchodziła do ciemnej, przepełnionej towarami izby sklepikarza, dróżnik, pozostały w domu, zajmował się wyłącznie Tobiaszem. Chłopiec siedział mu na kolanach i bawił się kilkoma sosnowymi szyszkami, które mu Thiel przyniósł z lasu.

- Czym chcesz zostać? - spytał go ojciec, a było to pytanie równie stereotypowe, jak odpowiedź chłopca:

- Zawiadowcą odcinka.

Nie było to pytanie żartobliwe, bo marzenia dróżnika faktycznie wznosiły się na takie wyżyny. Najzupełniej poważnie żywił on pragnienie i nadzieję, że z Tobiasza wyrośnie z Bożą pomocą coś nadzwyczajnego. Za ledwie słowa: "zawiadowcą odcinka" pojawiły się na bezkrwistych wargach małego, który oczywiście nie wiedział, co oznaczają, oblicze Thiela poczęło się rozjaśniać, aż wręcz promieniało głęboką szczęśliwością.

- Idź się bawić, Tobiaszu!

powiedział niebawem, zapalając fajkę drzazgą przytkniętą do paleniska, a mały pobiegł na dwór z płochliwą radością.

A Thiel rozebrał się, położył do łóżka i nim zasnął, przez dłuższy czas wpatrywał się w zamyśleniu w niski, popękany sufit izby. Obudził się koło południa, ubrał i podczas gdy żona na swój hałaśliwy sposób szykowała obiad, wyszedł na ulicę, gdzie z miejsca chwycił Tobiaszka, który palcami wydrapywał wapno z dziury w murze i pakował do ust. Dróżnik wziął go za rękę i mijając bodaj osiem domków osady podążył z nim nad Sprewę, która płynęła czarno i szklście pośród słabo zazielenionych topól. Tuż nad wodą leżał granitowy blok, na którym Thiel usiadł.

Cała osada przywykła do tego, że przy jako tako znośnej pogodzie widywało się go w tym miejscu. Lgnęły do niego zwłaszcza dzieci, nazywały go tatą Thielem, a on uczył je różnych zabaw, jakie pamiętał ze swoich młodych lat. Najlepszą częstkę wspomnień zachowywał jednak dla Tobiasza. Wystrugiwał mu śmigłe strzały, które wzbijały się wyżej niż wszystkich innych chłopców.

Wycinał wierzbowe fujarki lekko opukując korę rogowym trzonkiem scyzoryka, godził się nawet wyśpiewywać zaklęcia swym chropawym basem.

Ludzie mu brali za złe te dziwactwa. W głowach im się nie mieściło, jak mógł tyle czasu poświęcać malcom. W gruncie rzeczy jednak mieli powody do zadowolenia, bo dzieciom to dobrze pod jego opieką.

Nadto Thiel podejmował też z nimi sprawy poważne, starsze przesłuchiwał z zadanych lekcji, pomagał im się uczyć wersetów z Biblii i śpiewnika, z młodszymi sylabizował litery alfabetu i tak dalej.

Po obiedzie dróżnik ponownie udał się na krótki spoczynek.

Gdy drzemka dobiegła końca, wypił popołudniową kawę i zaraz począł się szykować do wyjścia na służbę.

Potrzebował na to, jak na wszystkie swoje czynności, dużo czasu. Każdy ruch był od lat ustalony.

Ułożone starannie na małej orzechowej komodzie przedmioty: scyzoryk, notes, grzebień, koński ząb, stary zegarek w kopercie, wędrowały zawsze w tej samej kolejności do kieszeni jego munduru.

Małą, obłożoną w czerwony papier książeczkę traktował ze szczególną pieczołowitością. W nocy leżała ona pod poduszką dróżnika, w dzień nosił ją stale w wewnętrznej kieszeni służbowego surduta. Na etykiecie pod papierową okładką ręka Thiela wypisała niewprawnym, ale zawijasowatym pismem: książeczka oszczędnościowa Tobiasza Thiela.

Zegar ścienny z długim wahadłem i pożółkłą tarczą wskazywał trzy kwadransy na piątą, gdy Thiel wyruszył z domu.

Małym czołnem będącym jego własnością, przeprowił się przez rzekę. Na drugim brzegu Sprewy przystawał parokrotnie i nasłuchiwał nadstawiając ucha w stronę osady.

Wreszcie skręcił w szeroką leśną drogę i po paru minutach znalazł się w głębi szumiącego głucho sosnowego boru. Nieprzebrane masy szpilek przypominały czarno - zielone, wzburzone morze. Bezgłośnie jak po filcu stąpał po mszystej i iglastej warstwie leśnego podszycia.

Odnajdywał swoją drogę nie podnosząc wzroku, tu pomiędzy rdzawo-brązowymi kolumnami wysokopiennego lasu. Stada wron kapały się niejako w szarości powietrza wydając bez ustanku swoje zgrzytliwe krzyki. Czarne kałuże wody wypełniały zagłębienia drogi i jeszcze posępniej odbijały sposepniałą przyrodę. Okropna pogoda, pomyślał Thiel, ocknąwszy się z głębokiej zadumy i podniósłszy głowę.

Nagle jednak jego myśli podażyły w innym kierunku. Miał niejasne przeczucie, że zapomniał czegoś wziąć z domu. I rzeczywiście, przeszukując kieszenie stwierdził brak chleba z masłem, który ze względu na długą służbę zmuszony był zawsze zabierać ze sobą. Chwilę stał niezdecydowanie, a potem raptownie zawrócił i pospieszył z powrotem w stronę wioski.

Wkrótce dotarł do Sprewy, przeprowił się kilkoma mocnymi uderzeniami wiosła i natychmiast, cały spocony, łagodnie wznoszącą się wiejską drogą popędził pod górę. Stary parszywy pudel sklepikarza leżał na środku drogi.

Na wysmołowanym drewnianym płocie zagrody wyrobnika siedziała szara wrona. Nastroszyła pióra, otrząsnęła się, kiwnęła łebkiem, zakrakała przeraźliwie i zerwała się ze świszczącym łopotem skrzydeł, aby polecieć z wiatrem ku lasom. Dróżnik czuł, jak ciężko, nieregularnie wali mu serce. Zaczął lekko drżeć. Patrzył w ziemię jakby nieobecny wzrokiem. Niezgrabną i twardą ręką odgarnął kilkakrotnie kosmyk mokrych włosów, który wciąż od nowa opadał na piegowate czoło. Przez moment zdawało się, że tego nie wytrzyma. Jakiś skurcz sprawił, że mięśnie mu nabrzmiały, a palce dłoni zacisnęły się w pięść. Gdy ustąpił, pozostało otępiełe znużenie.

Niepewnym krokiem dróżnik wszedł do ciasnej, wybrukowanej cegłą sieni. Powoli, wyczerpany, wspiał się na trzeszczące drewniane schody.

- Tfu, tfu, tfu! - zaczęło się znowu. Słysząc było przy tym, jak ktoś splunął trzy razy z wszelkimi oznakami wściekłości i pogardy.

- Ty podły, wstrętny, złośliwy, podstępny bydlaku!

Słowa następowały z coraz to mocniejszym akcentem, a głos, który je wykrzykiwał, załamywał się niekiedy z wysiłku.

- Mojego synka chcesz bić po buzi, biedną, bezbronną dziecinę ? Tak? To tak ? Nie chcę sobie brudzić tobą rąk, bo inaczej...

Wtedy akurat Thiel otworzył drzwi do izby, wobec czego przerażonej kobiecie zakończenie rozpoczętego zdania utkwiło w gardle. Z gniewu była biała jak ściana.

Wargi drżały jej złością. Uniósł prawą rękę, opuściła ją i złapała garnek z mlekiem, które usiłowała wlać do dziecięcej buteleczki.

Przerwała jednak tę robotę w połowie, gdyż większa część mleka spływała po szyjce na stół. Zupełnie wytrącona z równowagi chwyciła w zdenerwowaniu to ten, to inny przedmiot, nie mogąc go utrzymać w ręku dłużej, niż przez chwilę, aż wreszcie zebrała się na odwagę, by gwałtownie natrzeć na męża:

- Cóż to ma znaczyć, że o tak niezwyklej porze wpadasz do domu! Nie chcesz chyba mnie

szpiegować? To już byłby szczyt! Ja w każdym razie mam czyste sumienie, przed nikim nie muszę spuszczać oczu...

Thiel prawie nie słuchał, co mówiła. Spojrzył przelotnie na zapłakanego Tobiaszka. Przez moment wydawało się, iż siłą musi powstrzymać coś strasznego, co w nim wzbierało. Potem napięcie w jego twarzy pokryło się nagle dawną flegmą, dziwnie ożywioną przez ukradkowy, pożądliwy błysk oczu. Kilka sekund przesuwał wzrokiem po obfitych kształtach żony, która z odwróconą twarzą, czymś tam zajęta, wciąż jeszcze usiłowała się opanować. Jej pełne, na pół odsłonięte piersi pęczniały ze wzburzenia omal nie rozsadzając gorsetu. W podkaszanych spódnicach jej szerokie biodra wydały się jeszcze szersze. Ta kobieta zdawała się tchnąć jakąś siłą, nieodpartą, nieuchronną, której Thiel nie wiedział, jak sprostać.

Lekko, niczym delikatna pajęczyna, a przecież mocno jak żelazna sieć omotała go krępując, pokonując, osłabiając. W tym stanie nie zdołałby wypowiedzieć do niej ani słowa, tym bardziej słowa ostrego, toteż Tobiasz, który skąpany we łzach i wystraszony przycupnął w kącie, musiał patrzeć, jak ojciec, nawet już nie spojrzawszy w jego stronę, wziął zapomniany chleb z przypiecka, podsunął macosze jako jedyne wyjaśnienie i z krótkim, roztargnionym skinieniem głowy zaraz zniknął.

Chociaż Thiel przemierzał drogę do swej leśnej samotni jak mógł najszybciej, dotarł na miejsce dopiero w piętnaście minut po regulaminowym czasie.

Jego zmiennik, człowiek chory na suchoty, których nabawił się wskutek nieuniknionych w tego rodzaju służbie raptownych zmian temperatury, stał już gotów do odejścia na małej, piaskowej platformie budki, której wielki numer, czarny na białym tle, jaśniał widoczny z daleka pomiędzy drzewami.

Obaj mężczyźni podali sobie ręce, wymienili parę krótkich informacji i rozstali się. Jeden zniknął we wnętrzu budki, drugi przeszedł na tory i podążył przedłużeniem drogi, którą nadszedł Thiel. Słysząc było jego konwulsyjny kaszel pośród drzew, najpierw blisko, potem coraz dalej, a wraz z nim zamilkł jedyny ludzki dźwięk na tym pustkowiu.

Thiel, jak zawsze, tak i dziś zaczął po swojemu przygotowywać na noc ciasną, czworokątną kamienną klatkę budki. Robił to mechanicznie, zaprzątnięty rozpamiętywaniem wrażeń ostatnich godzin.

Przyniesioną kolację położył na wąskim, pociągniętym brązową farbą stole pod jednym z dwóch wąskich, bocznych okien, z których można było dogodnie obserwować tory. Następnie rozpałił ogień w małym, zardzewiałym piecyku i postawił na płycie garnek z zimną wodą. Na koniec uporządkował jako tako narzędzia, łopatę, szpadel, imadło itd., po czym zabrał się do czyszczenia swej latarni, którą przy okazji napełnił świeżą naftą.

Gdy uporał się z tym wszystkim, trzy przenikliwe uderzenia dzwonka, które powtarzały się jedno po drugim, oznajmiały, że pociąg w kierunku Wrocławia ruszył z najbliższej stacji.

Nie okazując najmniejszego pośpiechu Thiel pozostał jeszcze dobrą chwilę w budce, a wreszcie z chorągiewką i ładownicą w ręku, wyszedł powoli na dwór i poczłapał ociężałe wąską, piaszczystą ścieżką do oddalonego o jakieś dwadzieścia kroków przejazdu kolejowego. Thiel sumiennie zamykał i otwierał swoje szlabany przed i po każdym pociągu, aczkolwiek bardzo rzadko ktoś tędy przechodził. Zrobił, co do niego należało i czekając oparł się o czarno-białą drąg bariery. Linia kolejowa z prawej i z lewej wrzynała się prosto jak strzelił w nieprzejrany zielony bór. Po obu jej stronach iglasta gęstwina cofała się jakby spiętrzona, pozostawiając przejście, które wypełniał czerwono-brązowy, posypany żwirem nasyp. Czarne, biegnące równolegle tory wyglądały w całości jak oko ogromnej, żelaznej sieci, której wąskie pasma w najdalszych rejonach południa i północy zbiegały się w jednym punkcie horyzontu.

Zerwał się wiatr i skrajem lasu popędził w dal lekkie fale. Ze słupów telegraficznych, które towarzyszyły linii kolejowej, rozbrzmiewały brzęczące akordy. Na drutach, które jak przedziwo olbrzymiej pajęczyny ciągnęły się od słupa do słupa, siedziały ciasnymi rzędami stada rozćwierkanych ptaków. Dzieciół przeleciał ze śmiechem nad głową Thiela, ale ten nawet na niego nie spojrział.

Słońce, które dopiero co zawisło u dolnego brzegu porzeźnych chmur, aby pograżyć się w czarno - zielonym morzu wierzchołków drzew, zalewało bór strumieniami purpury. Kolumnad z sosnowych pni po drugiej stronie nasypu rozpałły się niejako od środka i żarzyły się niczym żelazo.

Tory też poczęły się żarzyć, podobne węzom ognistym, ale pierwsze przygasły. I oto żar powoli wznosił się z ziemi ku górze pozostawiając najpierw pnie sosen, potem lwią część ich koron w zimnym świetle zgnilizny, na koniec dotykając już tylko najdalszego skraju wierzchołków czerwonym blaskiem. Niemo i uroczyście odbywało się wspaniałe widowisko. Dróżnik wciąż jeszcze stał bez ruchu przy barierze.

Wreszcie postąpił krok naprzód. Ciemny punkt na horyzoncie, tam, gdzie tory się zbiegały, powiększał się. Rosnąc z sekundy na sekundę zdawał się jednak stać w miejscu. Raptem nabrał ruchu i począł się zbliżać. Torami biegło drżenie, brzęczenie, rytmiczny szcęk, głuchy łoskot, coraz bardziej narastający, w końcu podobny nieco do stuknięcia kopyt nadciągającego szwadronu kawalerii. Z daleka dochodziło potężniejące z każdą chwilą sapanie i szum. Potem cisza rozdarła się nagle. Szalone

huczenie i wycie wypełniło przestrzeń. Tory ugięły się, ziemia zdrząła. Silny podmuch, chmura pyłu, pary i dymu, i czarny, parszający potwór pomknął dalej. Hałas zamierał stopniowo, tak jak przedtem narastał. Rozwiał się opary.

Pociąg skurczył się i maleńki jak punkcik zniknął w dali, nad leśnym zakątkiem rozpostarło się dawne, niezmacone milczenie.

- Minna - wyszeptał dróżnik, jakby budząc się ze snu i wrócił do swojej budki. Zaparzył sobie wodnistą kawę, usiadł i od czasu do czasu pociągając łyk, wlepił wzrok w brudny kawałek gazety znaleziony gdzieś na szlaku.

Powoli ogarniał go dziwny niepokój. Myślał, że to od gorąca, które buchając z piecyka wypełniało izdebkę, więc rozpiął surdut i kamizelkę, żeby sobie ulżyć. Gdy to nie pomogło wstał, wziął szpadel z kąta i udał się na podarowane poletko.

Był to wąski pas piachu, zarosły gęsto zielskiem. Przepych młodych kwiatów niby śnieżnobiała piana spoczywał na gałęziach obu rosnących tam karłowatych drzewek owocowych. Thiel uspokoił się, owładnięto nim ciche zadowolenie. A więc do roboty. Szpadel z chrzęstem zagłębiał się w ziemię.

Mokre skiby padały głucho z powrotem i kruszyły się. Jakiś czas kopał bez przerwy. Potem nagle przestał i kręcąc głową z niedowierzaniem, powiedział do siebie głośno i wyraźnie:

- Nie, nie, to przecież niemożliwe

Raptem pomyślał, że Lena będzie teraz często tu przychodziła, żeby uprawiać pole, co zakłóci utarty tryb życia. I w pewnej chwili radość z posiadania pola przerodziła się w niechęć. Spiesznie, jak gdyby omal nie zrobił czegoś niestosownego, wyszarpnął szpadel z ziemi i zaniósł go z powrotem do budki.

Tutaj ponownie pograżył się w ponurych rozmyślaniach. Nie wiedział czemu, ale perspektywa, że przez cały czas służby będzie miał Lenę przy sobie, jakkolwiek usiłował się z tym pogodzić, stawała się coraz bardziej nie do zniesienia. Wydało mu się, że musi bronić czegoś, co jest mu drogie, że ktoś próbuje się targnąć na jego największą świętość, i mimo woli mięśnie naprężyły mu się w lekkim skurczu, a z ust wydobył się krótki, wyzywający śmiech. Przerażony odgłosem tego śmiechu podniósł wzrok i zgubił przy tym wątek swych rozważań. Kiedy go odnalazł zagrzebał się niejako w dawny temat.

Nagle coś jakby gęsta, czarna zasłona rozdarło się na dwoje, przywracając zaćmionym oczom jasność spojrzenia. Ni z tego ni z owego poczuł się jak ktoś, kto budzi się z dwuletniego, letargicznego snu i potrząsając z niedowierzaniem głową, spogląda na wszystkie okropności, jakich miał się w tym stanie dopuścić. Przed oczyma duszy stanęła mu wyraźnie historia męczarni jego pierworodnego, którą wrażenia ostatnich godzin mogły już tylko utwierdzić. Ogarnęła go litość i skrucha, jak również głęboki wstyd, że przez cały ten czas haniebnie przymykał na to oczy, nie ujmując się za drogim, bezbronnym stworzeniem, ba, nie znajdując siły, by przyznać choćby samemu sobie, jak bardzo cierpiało. Po samoudręce wyobrażeń tego wszystkiego, co zawinił i zaniedbał, przyszło na niego ciężkie znużenie, tak że zasnął, zgarbiony, z czołem na dłoni, wspartej o stół.

Jakiś czas tak leżał, aż zdławionym głosem zawołał kilkakrotnie:

- Minna! Minna!

Szum i huk, jakby wywołane przez niezmiernie masy wody wypełniły mu uszy. Wokół pociemniało, otworzył szeroko oczy i przebudził się. Cały był rozdygotany. Zimny pot wystąpił ze wszystkich porów, puls miał nieregularny, twarz mokrą od łez.

Ciemno było choć oko wykol. Chciał rzucić okiem na drzwi, ale nie wiedział, w którą stronę powinien się obrócić. Wstał chwiejnie, nadal nie odstępował go ów wielki strach. Las dookoła szumiał jak kipiela morska, wiatr ciskał gradem i deszczem w okna budki. Thiel bezradnie wyciągał ręce po omacku. Przez moment wydawało mu się, że tonie - gdy nagle buchnął oślepiający, niebieskawy blask, jak gdyby krople nadziemskiego światła spadły w mroczną atmosferę ziemi i natychmiast zostały przez nią zduszone.

Ta chwila wystarczyła, aby dróżnik oprzytomniał. Chwycił latarnię, która szczęściem nawinęła mu się pod rękę, i w tym samym momencie na najdalszym skraju nocnego, brandemburskiego nieba zahuczał grzmot.

Zrazu dudniąc głuchym, przytłumionym pomrukiem, toczył się coraz bliżej krótkimi, rozbijającymi się falami, aż wreszcie, wśród potężnych uderzeń, wylądował się, zalewając całą atmosferę, huczając, wstrząsając, łomocząc. Szyby zabrzęczały, ziemia zdrząła.

Thiel zapalił latarnię. Pierwsze spojrzenie, ledwie odzyskał równowagę, padło na zegarek. Za niespełna pięć minut nadjedzie pociąg pospieszny. Sądząc, że nie dosłyszał sygnału, podążył tak szybko, jak na to pozwalały burza i ciemności, do szlabanu.

Zanim jeszcze zdołał go zamknąć, rozległ się dzwonek sygnałowy. Wiatr szarpał jego dźwiękami i rozrzucał je na wszystkie strony. Sosny uginały się i niesamowicie trzeszcząc i skrzypiąc, ocierały gałęzie jedna o drugą. Na chwilę ukazał się księżyc, jakby bladeżółta misa pomiędzy marmurami. W jego blasku widać było, jakie szaleństwa wyprawiał wiatr w czarnych koronach sosen. Girlandy

brzozowych liści przy nasypie powiewały i trzepotały jak upiorne końskie ogony. Poniżej ciągnęły się linie torów, które, błyszcząc od wilgoci, wsysały tu i ówdzie bladą poświatę księżycą.

Thiel zerwał czapkę z głowy. Deszcz przynosił mu ulgę i zmieszany ze łzami spływał po twarzy. W głowie mu kipiło. Niejasne wspomnienia tego, co widział we śnie, wypierały się nawzajem. Miał takie wrażenie, jakby ktoś maltretował Tobiasza, i to w tak okropny sposób, że na tę myśl jeszcze teraz serce mu zamierało. Inną zjawę przypominał sobie wyraźniej. Ukazała mu się zmarła żona. Przyszła skądś z daleka po jednym z torów kolejowych. Wyglądała na bardzo schorowaną, a zamiast sukni miała na sobie jakieś gałgany.

Minęła budkę Thiela, nawet na nią nie spojrzawszy, a w końcu – tu wspomnienie się zacierało - z jakiegoś powodu szła przed siebie z największym trudem i nawet kilka razy upadła. Thiel dalej nad tym rozmyślał i oto wiedział już, że ona uciekała. Nie ulegało to najmniejszej wątpliwości, bo w przeciwnym razie czemu by rzucała za siebie te spojrzenia pełne wielkiego strachu i wlokła sił naprzód, chociaż nogi odmawiały jej posłuszeństwa? Och, te okropne spojrzenia! Ale niosła coś na rękę, coś zawiniętego w chusty, coś słabego, zakrwawionego, bladego, a w sposób, w jaki na to patrzyła, przypominał mu sceny z przeszłości.

Pomyślał o umierającej kobiecie, spoglądającej nieprzerwanie na ledwie narodzone dziecko, które musiała pozostawić z wyrazem najgłębszego bólu, niepojętej męki, owym wyrazem, którego Thiel równie nie mógł zapomnieć, jak tego, że miał ojca i matkę.

Dokąd poszła? Tego nie wiedział. Ale jedno miał jasno przed oczyma duszy: wyrzekła się go, nie zważała na niego, wlokła się coraz dalej i dalej przez burzliwą, ciemną noc. Wołał za nią:

- Minna! Minna! -

I to go zbudziło.

Dwa czerwone, okrągłe światła niby ślepia olbrzymiego potwora przeniknęły ciemność. Poprzedzał je krwawy blask, który w swoim zasięgu zamieniał krople deszczu w krople krwi. Wydawało się, jak gdyby z nieba padał krwawy deszcz. Thiel poczuł odrazę, a im bardziej pociąg się zbliżał, tym większy strach: sen i rzeczywistość stapiały się w jedno. Nadal widział kobietę idącą po szynach, jego dłoń błędziła wokół tadownicy, jak gdyby zamierzał zatrzymać pędzący pociąg. Na szczęście było za późno, bo już światła zamigotały w oczach dróżnika i pociąg przemknął obok niego.

Przez pozostałą część noc Thiel nie zaznał już na służbie spokoju. Coś gnało go do domu. Pragnął zobaczyć Tobiaszka. Czuł się tak, jakby całe lata go nie widział. Na koniec obawa o los chłopca spotęgowała się do tego stopnia, że kilkakrotnie kusiło go, by porzucić służbę.

Dla zabicia czasu postanowił, ledwie się rozwidniło, pójść na obchód swego odcinka. Z kijem w lewej ręce, z długim, żelaznym kluczem do śrub w prawej, ruszył niebawem grzbietem szyny w brudnoszary półmrok. Tu i ówdzie dokręcał kluczem jakiś sworzeń lub uderzał w jeden z okrągłych żelaznych prętów, którymi były połączone szyny. Deszcz i wiatr ustały, a spomiędzy postrzępionych chmur ukazywały się gdzieś kawałki bladoniebieskiego nieba. Jednostajny stukot podeszew o twarde metal, połączony sennym szumem ociekających drzew, pomału uspokajał Thiela.

O szóstej rano doczekał się zmiany i niezwłocznie udał się w drogę do domu. Był to wspaniały niedzielny poranek. Chmury rozdzieliły się i zniknęły tymczasem za widnokregiem. Wzeszło słońce, lśniące niczym olbrzymi, krwistoczerwony kamień szlachetny, i zalewało bór istną powodzią światła.

Wiązki promieni przedzierały się ostrymi liniami przez mrowie drzew, tu muskając żarem wyspę delikatnych paproci, których liście przypominały cieniutkie koronki, tam przeistaczając srebrnoszare porosty leśnego poszycia w czerwone korale. Z wierchołków, pni i traw spływała ognista rosa. Na ziemię zdawał się spływać potop światła. Powietrze tchnęło rześkością, która sięgała aż do serca, a i pod czaszką Thiela obrazy tej nocy musiały stopniowo zblednąć.

Z chwilą zaś, gdy wszedł do izby i w opromienionym słońcem łóżku zobaczył leżącego Tobiaszka z bardziej, niż kiedykolwiek rumianymi policzkami, pierzchły zupełnie. Chociaż kto wie?

W ciągu dnia Lenie wydawało się parokrotnie, że dostrzega w nim coś dziwnego; najpierw w kościelnej ławce, kiedy to zamiast w śpiewnik przyglądał się jej spod oka, a potem koło południa, kiedy bez słowa wziął maleństwo z rąk Tobiasza, który jak zwykle miał je wynieść na drogę, i posadził jej na kolanach. Poza tym jednak nie było w nim nic niezwykłego.

Thiel, który przez cały dzień nie miał okazji się położyć, już koło dziewiątej wieczorem wsunął się do łóżka, ponieważ w następnym tygodniu czekała go dzienna służba. Zasnął już, gdy żona oznajmiła mu, że nazajutrz rano pójdzie z nim do lasu, aby skopać ziemię i posadzić ziemniaki. Dróżnik wzdrygnął się; był całkowicie przebudzony, ale nie otwierał oczu. - Najwyższy czas - rzekła Lena, jeśli ziemniaki mają w ogóle wyrosnąć, i dorzuciła, że będzie musiała wziąć dzieci ze sobą, bo pewnie zajmie to cały dzień. Dróżnik mruknął parę niezrozumiałych słów, na które Lena już nie zareagowała. Odwróciła się do niego plecami i w blasku łojowej świecy zajęła się rozsznurowywaniem gorsetu i zdejmowaniem spodnic.

Nagle obejrzała się szybko, sama nie wiedząc, z jakiego powodu, i zobaczyła wykrzywioną

namiętnością, ziemistą twarz męża, który pól siedząc, z rękami na krawędzi łóżka, wpatrywał się w nią płonącymi oczyma. - Thiel! - krzyknęła kobieta na pół z gniewem, na pół z przestachem, a on jak lunatyk, którego woła się po imieniu, ocknął się z odurzenia, wyjąkał kilka nieskładnych słów, opadł z powrotem na poduszki i naciągnął pierzynę na uszy.

Nazajutrz rano Lena pierwsza wstała z łóżka. Nie robiąc hałasu przygotowała wszystko, co było potrzebne na wyprawę. Włożyła maleństwo do wózka, po czym zbudziła i ubrała Tobiasza. Gdy chłopiec usłyszał, dokąd pójdzie musiał się uśmiechnąć. Kiedy wszystko było naszykowane i kawa stała już na stole przebudził się Thiel.

Niezadowolony było jego pierwszą reakcją na widok wszystkich poczynionych przygotowań.

Najchętniej powiedziałby coś przeciwnego temu, ale nie wiedział, jak zacząć.

I jakież miałby Lenie dać nieodparte powody? Coraz bardziej i bardziej rozpromieniona twarzyczka Tobiasza zaczęła stopniowo oddziaływać na Thiela, tak że w końcu już ze względu na radość, jaką ta wyprawa sprawiała chłopcu, nie mógł myśleć o sprzeciwie.

Niemniej w czasie wędrowki przez las dróżnika nie opuszczał niepokój. Mozolnie pchał wózek z niemowlęciem przez głęboki piach i kładł na nim rozmaite kwiaty, jakie Tobiasz zrywał po drodze. Chłopiec był nadzwyczaj wesoły. W swej brązowej pluszowej czapeczce podskakiwał wśród paproci i trochę niezdarnie usiłował chwycić szklistoskrzydłe ważki, które fruwały nad nimi.

Skoro tylko dotarli na miejsce Lena przystąpiła do oględzin pola. Woreczek z ziemniakami, które przyniosła do sadzenia, rzuciła na trawiasty skraj brzoźowego lasku, uklękła i poczęła przesypywać w twardych palcach nieco pociemniały piasek. Thiel obserwował ją w napięciu:

- No i jaka ta ziemia?

- Wcale nie gorsza niż nad Sprewą

Dróżnikowi kamień spadł z serca. Obawiał się, że Lena będzie niezadowolona, i uspokojony pocierał nie ogolony podbródek.

Kobieta zjadłszy prędko grubą piętę chleba, zrzuciła chustkę i kaftanik i jęła kopać z szybkością i wytrzymałością maszyny. W regularnych odstępach wyprostowywała się i oddychała głęboko, ale za każdym razem trwało to tylko moment, jeśli nie musiała akurat nakarmić maleństwa, wtykając mu pospiesznie zdyszana, ociekającą potem pierś.

- Muszę obejść odcinek, zabiorę ze sobą Tobiasza! - zawołał do niej po jakimś czasie dróżnik z platformy przed budką.

- Co to za pomysł! - odkrzyknęła. - A kto zostanie przy małym?... - Chodź no tutaj! - dorzuciła jeszcze głośniejsze, a tymczasem dróżnik, jakby jej nie słysząc odszedł z Tobiaszem. W pierwszej chwili zastanawiała się, czy nie pobiec za nim, ale tylko myśl o stracie czasu odwiła ją od tego zamiaru. Thiel szedł z Tobiaszem wzdłuż torów. Malec był bardzo podniecony; wszystko było dla niego nowe, nieznajome. Nie rozumiał, czemu służą wąskie, czarne, rozgrzane słońcem szyny. Bez przerwy zadawał najróżniejsze dziwaczne pytania. Osobliwe było dla niego przede wszystkim dzwonienie słupów telegraficznych. Thiel znał dźwięk każdego z nich w swoim rewirze, tak że z zamkniętymi oczami zawsze by wiedział, w której części odcinka właśnie się znajduje. Często przystawał trzymając Tobiasza za rękę, aby wsłuchiwać się w niezwykle odgłosy, jakie wydobywały się z drewna, niczym dźwięczne chorały z wnętrza kościoła. Słup telegraficzny u południowego krańca rewiru miał szczególnie bogaty i piękny akord. Nieprzeliczone dźwięki w jego wnętrzu rozbrzmiewały bez przerwy jednym ciągiem, a Tobiasz biegał wokół zwietrzałego drewna, aby, jak sądził, przez jakąś szparę wypatrzyć sprawców tej miłej muzyki.

Dróżnik wpadł w uroczysty nastrój, podobnie jak w kościele. W dodatku z czasem odróżnił głos, który przypominał mu zmarłą żonę. Wyobraził sobie, że jest to chór dusz zmarłych, do którego włączył się też jej głos, a to wyobrażenie wzbudziło w nim tęsknotę, wzruszenie do łez. Tobiasz domagał się kwiatów, które rosły na uboczu, Thiel jak zawsze spełnił jego żądanie. Mogłoby się zdawać, że to kawałki błękitnego nieba opadły na podszybie gaju, tak bowiem cudownie gęsto rosły na nim drobne, niebieskie kwiaty. Motyle na podobieństwo kolorowych proporczyków trzepotały i bezgłośnie przefruwały z miejsca na miejsce między lśniąca białą pni, a tymczasem przez jasnozielone chmury listowia brzoźowych koron mżył łagodny blask.

Tobiasz zrywał kwiaty, a ojciec przyglądał mu się w zamyśleniu. Niekiedy wzrok dróżnika wędrował ku górze i w lukach między liśćmi szukał nieba, które jak olbrzymia, nieskazitelnie błękitna kryształowa misa chwyciła złote światło słońca.

- Tato, czy to jest Pan Bóg? spytał raptem malec, pokazując brązową wiewiórkę, która przy akompaniamencie drapiących szelestów mknęła w górę po pniu samotnie stojącej sosny.

- Głuptasek z ciebie - to było wszystko, co Thiel mógł odpowiedzieć, a tymczasem odłupane kawałeczki kory pnia spadały mu do stóp.

Lena wciąż jeszcze kopała, gdy Thiel i Tobiasz wrócili. Połowa pola była już przekopana. Pociągi przemykały jeden za drugim w krótkich odstępach. Tobiasz za każdym razem patrzył z otwartymi

ustami, jak pędzą. Nawet macochę ubawił swymi pociesznymi minami.

Obiad, złożony z ziemniaków i resztek zimnej pieczeni wieprzowej, zjedli w budce. Lena była w dobrym humorze, a i Thiel zdawał się z pewnym ociąganiem poddawać temu, co było nieuniknione. Przy jedzeniu zabawiał żonę różnymi historyjkami, które wiązały się z jego zawodem. Pytał ją więc, czy potrafi sobie wyobrazić, że w każdej szynie tkwi czterdzieści sześć śrub, pytał ją też o inne rzeczy. Do południa Lena uwinęła się z kopaniem; po południu miała sadzić ziemniaki. Nalegała, żeby Tobiasz pilnował teraz maleństwa, i zabrała go ze sobą.

- Uważaj...- zawołał za nią Thiel, zdjęty nagłym niepokojem - ... uważaj, żeby nie zbliżał się do torów. W odpowiedzi Lena tylko wzruszyła ramionami

Zapowiedziano pociąg śląski i Thiel musiał pędzić na swój posterunek. Ledwie stanął w pogotowiu przy szlabanie, usłyszał narastający szum. Pociąg ukazał się - zbliżył - para dobywała się z czarnego komina lokomotywy niezliczonymi, przyspieszonymi kłębam. Nagle; jeden, dwa, trzy mlecznobiałe promienie pary strzeliły prosto w górę, a zaraz potem powietrze przyniosło gwizd lokomotywy. Trzy kolejne gwizdy, krótkie, przenikliwe, alarmujące. Hamują, poyśłał dróżnik, ale dlaczego? I znów zabrzmiały alarmowe gwizdy krzykliwe, odbijające się echem, tym razem długą, nieprzerwaną serią. Thiel postąpił naprzód, żeby popatrzeć na szlak. Mechanicznie wyciągnął z futerału czerwoną chorągiewkę i trzymał ją nad torem wprost przed sobą. Jezu Chryste, czyżby on był ślepy? Co to było? Tam!... Tam, między szynami... Staaa! - krzyczał dróżnik ze wszystkich sił.

Za późno. Jakaś ciemna masa dostała się pod pociąg i odbijała się pomiędzy kołami jak piłka gumowa.. Jeszcze parę chwil i rozległ się pisk i skrzywienie hamulców. Pociąg stanął. Bezładny szlak ożywił się. Maszynista i konduktor biegli po żwirze na koniec pociągu. Z każdego okna wyglądały ciekawe twarze, a teraz - ciżba zakłębiła się i ruszyła naprzód. Thiel sapał; musiał przytrzymać się, żeby nie paść jak zarżnięty byk. Naprawdę przywołują go... Nie! Nagły krzyk rozdziera powietrze na miejscu wypadku, po nim następuje wycie, wydobywające się jakby z gardzieli zwierzęcia.

Kto to był? Lena? To nie jej głos, a przecież...

Jakiś mężczyzna co sił w nogach biegnie wzdłuż toru.

- Dróżnik!

- Co tam?

- Niestety!... -

Przybyły wzdryga się, bo w oczach dróżnika pojawiają się dziwne błyski. Czapka przekrzywiona, rude włosy jakby chciały powstać na głowie.

- Jeszcze żyje, może zdąży z pomocą.

Rzężenie to jedyna odpowiedź.

- Chodź pan, prędko, prędko!

Thiel podrywa się z ogromnym wysiłkiem. Naprężają się zwiotczałe mięśnie; staje prosto, twarz ma osłupiałą i martwą. Biegnie z przybyłym mężczyzną, nie widzi śmiertelnie bladych, przerażonych twarzy pasażerów w oknach pociągu. Stoi w nich młoda kobieta, komiwojażer w fezie, młoda panna, pewnie w podróży poślubnej. Co go to obchodzi?

Nigdy nie interesował się pasażerami tej diabelskiej maszyny; uszy wypełnia mu zawrodojenie Leny.

Ćmi się w oczach, migoczą żółte punkciki, nieprzeliczone, jak robaczki świętojańskie. Dróżnik wzdryga się - staje. Z wirowania robaczek świętojańskich wyłania się twarz, blada, obwisła, zakrwawiona.

Posiniaczone czoło, sine wargi, z których spływa czarna krew.

To był on.

Thiel nie mówi ani słowa. Jego twarz nabiera brudnej bladości. Uśmiecha się jakby w roztargnieniu; wreszcie pochyla się; czuje, jak bezwładne, nieruchome ciało ciąży mu na rękach; spowija je czerwona chorągiewka.

Rusza.

- Dokąd?

- Do lekarza kolejowego, do lekarza - odzywają się głosy.

- Zaraz go weźmiemy - woła inspektor bagażowy i w swoim wagonie przygotowuje legowisko z ubrań i książek.

- No to jak?

Thiel ani myśli wypuścić z rąk nieszczęśliwego chłopca. Tamci nalegają. Daremnie. Inspektor każe podać nosze z wagonu bagażowego i wysła jednego z ludzi, żeby pomógł ojcu.

Czas jest cenny. Gwizd maszynisty przeszywa powietrze. Z okien sypie się deszcz monet. Lena zachowuje się jak obłąkana.

- Biedna, biedna kobieta -

mówią w przedziałach -

- biedna, biedna matka.

Maszynista ponownie daje gwizdem sygnał - lokomotywa bucha kłębami białej, syczącej pary z cylindrów i napina żelazne ścięgna; po kilku sekundach pociąg kurierski, powiewając smugą dymu, pędzi ze zdwojoną szybkością przez las.

Dróżnik tymczasem zmienia zdanie i kładzie półzywego chłopca na noszach. I oto mały leży tam w całej swej żalostnej cielesności, co jakiś czas długie, rżące tchnienie podnosi kościstą pierś, która wyłania się spod podartej koszuli. Rączki i nóżki złamane nie tylko w przegubach, przybierają najbardziej nienaturalne pozycje. Pięta małej stopy jest przekręcona do przodu. Ręce zwisają po bokach noszy.

Lena lamentuje bez ustanku; zniknęły wszelkie ślady jej dawnej hardości. Powtarza w kółko historię, która ma ją uwolnić od jakiegokolwiek winy za to, co się stało. Thiel jakby jej nie widział; jego oczy z wyrazem okropnej trwogi wpatrują się w dziecko. Dokoła zapadła cisza, śmiertelna cisza; czarne i gorące tory spoczywają na oślepiającym żwirze. Południe stłumiło wiatry i las stoi nieporuszony jak z kamienia.

Mężczyźni naradzają się cicho.

- Żeby jak najszybciej dostać się do Friedrichshagen, trzeba cofnąć się na stację leżącą w kierunku Wrocławia, bo następny pociąg, przyspieszony pociąg osobowy, gdzie indziej już przed Friedrichshagen nie staje.

Thiel zdaje się zastanawiać, czy powinien iść razem. Chwilowo nie ma tu nikogo, kto mógłby go zastąpić. Niemym gestem nakazuje żonie, by wzięła nosze.

Lena nie śmie się sprzeciwić, chociaż jest niespokojna o pozostawione niemowlę. Wraz z obcym mężczyzną niesie nosze. Thiel odprowadza ich do granicy swego rewiru, po czym staje i długo patrzy za nimi. Raptem wali się dłonią w czoło, aż rozlega się echo.

Chciałby się obudzić, "bo to będzie sen, jak ten wczorajszy", mówi sobie. Na próżno. Bardziej zataczając się, niż idąc dotarł do swojej budki. Tam padł na podłogę, twarzą naprzód.

Czapka potoczyła się w kąt, zegarek, na który od lat chuchał i dmuchał, wypadł z kieszeni, otworzyła się koperta, szkielek się rozbiło. Można by sądzić, że jakaś żelazna pięść, chwyciła go za kark tak mocno, że nie mógł się ruszyć, jakkolwiek wśród stęknęć i jęków usiłował się uwolnić. Czoło miał zimne, oczy suche, w gardle go paliło.

Zbudził go dzwonek sygnału. Pod wrażeniem owych powtarzających się trzech uderzeń dzwonka atak ustąpił. Thiel zdołał się podnieść i wypełnić swój obowiązek. Co prawda nogi ciążyły mu jak ołów, co prawda szlak kolejowy krążył wokół niego jak szprychy ogromnego koła, którego osią była jego głowa; ale jednak zebrał przynajmniej tyle sił, żeby jakiś czas utrzymać się na nogach.

Nadjeżdżał pociąg osobowy. Musiał w nim być Tobiasz. W miarę jak się zbliżał, coraz bardziej zamazywały się obrazy przed oczyma Thiela. Na koniec widział już tylko poranionego chłopca z zakrwawionymi ustami. Potem zapadła noc.

Po jakimś czasie ocknął się z omdlenia. Zobaczył, że leży tuż przy szlabanie w gorącym piasku.

Wstał, otrząpiał ubranie z ziarenek piasku i wypluł je z ust. W głowie nieco się rozjaśniło, mógł myśleć spokojniej. W budce od razu podniósł zegarek z podłogi i położył na stole. Mimo upadku zegarek chodził. Dróżnik przez dwie godziny liczył sekundy i minuty, wyobrażając sobie, co w tym czasie mogło się dziać z Tobiaszem.

Teraz Lena dotarła z nim na miejsce; teraz była u lekarza. Ten obejrzał chłopca, obmacał i potrząsnął głową.

- Źle, bardzo źle, ale może... kto wie? -

Zbadał go dokładnie.

- Nie - powiedział potem - nie, już po nim.

- Już po nim, po nim -

jęknął Thiel, a potem wyprężył się i wlepiając wytrzeszczone oczy w sufit, bezwiednie zaciskając w pięści uniesione dłonie, krzyknął takim głosem, jak gdyby chciał rozsadzić ciasne pomieszczenie:

- On musi żyć, mówię ci, on musi, musi żyć! -

A potem znów zamknął drzwi budki, przez które wdarł się czerwony ogień wieczoru, i raczej pobiegł, niż poszedł z powrotem do szlabanu. Tutaj stał długą chwilę jak skamieniały, aż nagle rozpościerając ramiona wszedł na sam środek nasypu, jakby chcąc zatrzymać coś, co nadchodziło z tej strony, w którą podążał pociąg osobowy. Jego szeroko rozwarłe oczy sprawiły przy tym wrażenie porażonych ślepotą.

Szedł tyłem, jakby cofając się przed czymś, i bez przerwy mamrotał na pół zrozumiałe słowa:

- Ty... słyszysz... zostańże... ty... słuchajże... zostań... oddaj go... cały jest w sińcach i krwi... tak, tak dobrze, ja jej odpłacę sińcami i krwią... słyszysz? zostańże, oddaj mi go.

Zdawało się, iż coś przechodzi obok niego, bo odwrócił się i ruszył, jakby podążając za tym czymś, w innym kierunku.

- Ty, Minna - jego głos stał się płaczący jak u małego dziecka.

- Ty, Minna, słyszysz?... oddaj go... ja...

Po omacku wyciągał ręce, jakby chcąc kogoś zatrzymać.

- Żonko... tak... więc ja ją... więc ja ją też trzasnę... sińce i krew... więc ja ją siekierą ...widzisz?...

kuchenną siekierą... trzasnę ją kuchenną siekierą i ona zdechnie... Siekierą... kuchenną siekierą...aż rzuci się czarna krew! -

Piana wystąpiła mu na usta, szklane źrenice poruszały się nieustannie. Łagodny powiew wieczoru przeciągał lekko i uporczywie ponad lasem, płomienście różowo postrzępione obłoki zawisły na zachodnim niebie. Może sto kroków podążał tak ów mężczyzna za czymś niewidzialnym, aż przystanął, widać straciwszy nadzieję, i z okropnym strachem w twarzy wyciągnął ręce, błagalnie, zaklinająco. Wyteżył wzrok i osłonił oczy dłonią, jakby chcąc w odległej dali raz jeszcze wypatrzeć nieuchwytną zjawę. Wreszcie dłoń opadła, a napięcie w twarzy ustąpiło miejsca apatycznemu ośpieniu; dróżnik zawrócił i powlókł się drogą, którą przyszedł. Słońce zalało bór ostatnim żarem, po czym zgasło. Pnie sosen, jak blade, zbutwiały szkielet sięgały pomiędzy wierzchołki, które spoczywały na nich niby szaro-czarne warstwy próchna.

Stukanie dziecięcia donośnie rozlegało się w ciszy. Po zimnym, stalowoniebieskim niebie przeciągała spóźniona gromadka różowych obłoków. Powiew wiatru niósł piwniczny chłód, tak że dróżnik poczuł dreszcze. Wszystko było dla niego nowe, wszystko nieznanym. Nie wiedział, ku czemu szedł, ani co go otaczało. Raptem przez tory przemknęła wiewiórka i Thiel przypomniał sobie. Nie wiedząc czemu musiał pomyśleć o Panu Bogu. "Pan Bóg przebiega drogę, Pan Bóg przebiega drogę". Powtórzył to zdanie kilkakrotnie jakby chcąc dojść do czegoś, co się z nim wiązało. Przerwał sobie tknięty błyskiem zrozumienia:

- Boże mój, przecież to obłąd. -

Zapomniał o wszystkim i zwrócił się przeciwko temu nowemu wrogowi. Starął się uporządkować myśli, na próżno! Było to szamotanie się bez żadnego oparcia. Przytapał się na najbardziej niedorzecznych wyobrażeniach. Wzdrygnął się, świadom własnej bezsilności.

Z pobliskiego brzeźniaka doszedł krzyk dziecka. Był to sygnał do szaleństwa. Niemał wbrew swojej woli musiał tam pobiec i zastał niemowlę, którym nikt już się nie zajmował, zapłakane, odkryte i wywijające nóżkami w wózku. Co chciał zrobić? Co go tu przygnało? Wzburzony potok uczuć i myśli wchłonął te pytania.

"Pan Bóg przebiega drogę", teraz wiedział, co to miało oznaczać.

- Tobiasz... ona go zamordowała ...Lena...był pod jej opieką... Nie każda macocha pasierba kocha-zgrzytnął

- a jej bachor żyje-

Czerwona mgła spowiła jego zmysły. Przeszywało go spojrzenie dwojga dziecięcych oczu; poczuł pod palcami coś miękkiego, mięsistego. W ucho wdarły ku się charkotliwe i świszczące dźwięki, zmieszane z ochrypłymi krzykami; nie wiedział, kto je wydawał.

Wtem odniósł takie wrażenie, jakby spadła mu na mózg kropla gorącego laku i jakby zelało umysłowe odrętwienie. Przytomniejąc usłyszał drżący jeszcze w powietrzu oddźwięk dzwonka sygnałowego. Natychmiast pojął, co chciał zrobić; oderwał dłonie od gardła dziecka, które wiło się w jego uścisku. Z trudem chwyciło powietrze, potem zaczęło kaszleć i krzyczeć.

- Żyje! Bogu dzięki, żyje!-

Zostawił niemowlę i pobiegł do przejazdu. Ciemny dym toczył się z daleka ponad szlakiem, spychany przez wiatr ku ziemi.

Dróżnik usłyszał za sobą sapanie lokomotywy, które brzmiało jak urywany, ciężki oddech chorego olbrzyma. Zimny półmrok ogarniał całą okolicę.

Po jakimś czasie, gdy rozstąpiły się chmury dymu. Thiel poznał pociąg zwirowy, który wracał z opróżnionymi lorami i wioził robotników zatrudnionych na szlaku. Pociąg miał hojnie obliczony czas jazdy i mógł zatrzymać się wszędzie aby tu i ówdzie zabrać robotników po skończonej pracy, innych zaś wysadzić. Hamowanie zaczęło się spory kawał przed budką Thiela. Głośny pisk, chrobot, łoskot i szcęk przeniknęły daleko ciszę wieczoru, zanim pociąg znieruchomiał z jednym, jedynym, przeraźliwym, przeciągłym dźwiękiem.

Chyba z pięćdziesięciu robotników i robotnic jechało na lorach. Prawie wszyscy stali wyprostowani, niektórzy mężczyźni z odkrytymi głowami. Zachowanie ich wszystkich miało w sobie jakąś zagadkową odświętność. Gdy zobaczyli dróżnika, szept przeszedł pomiędzy nimi. Starzy wyjęli fajki z pożółkłych zębów i z uszanowaniem trzymali je w dłoniach.

Tu i tam odwracała się któraś z kobiet, żeby wytrzeć nos. Maszynista zeskoczył na nasyp i podszedł do Thiela. Robotnicy widzieli, jak uroczyście uściśnął mu rękę, po czym dróżnik wolnym, niemałym po wojskowemu sztywnym krokiem ruszył w stronę ostatniego wagonu. Żaden z robotników nie śmiał się do niego odezwać, chociaż wszyscy go znali.

Z ostatniego wagonu wyniesiono właśnie małego Tobiaszka. Nie żył już. Lena szła za nim; twarz jej

zsiniała, oczy miała podkrążone. Thiel nawet na nią nie spojrzął; natomiast ona przestraszyła się widokiem męża. Policzki mu zapadły, rzęsy i włosy na brodzie były zlepione, czupryna, jak się jej wydało, bardziej niż dotychczas posiwiała. Wszędzie na twarzy ślady zaschłych łez; do tego niespokojny blask w oczach, który wzbudził w niej lęk.

Znów przyniesiono nosze, żeby można było przetransportować ciało. Jakiś czas panowała niesamowita cisza. Thiel popadł w głębokie, okropne zamyślenie. Ściemniało się coraz bardziej. Stado saren pojawiło się na nasypie. Sarniak przystanął między szynami. Obracał ciekawie giętką szyją, gdy znienacka zagwizdała lokomotywa i on błyskawicznie pierzchnął z całym stadem.

W momencie ruszania pociągu Thiel zwałił się na ziemię. Pociąg zatrzymał się ponownie i zaczęły się narady, co teraz robić. Postanowiono ciało dziecka zostawić tymczasem w budce dróżnika i zamiast niego zanieść do domu Thiela, którego w żaden sposób nie dało się doprowadzić do przytomności. I tak się stało.

Dwaj mężczyźni nieśli nosze z zemdlonym, za nimi podążała Lena, która łkając nieustannie, z twarzą zalaną łzami pchała przez piach wózek z maleństwem.

Księżyc niczym ogromna rozżarzona purpurowo kula kładł się między pniami sosen na leśnym podszyciu. Im wyżej się wspinał, tym bardziej zdawał się maleć, tym bardziej bladł. W końcu zawisnął nad borem jak ampla, mżąc przez wszystkie szczeliny i luki w koronach drzew matowym, zamglonym blaskiem, który nadawał twarzom idących trupią bladość.

Pochód rażno, ale ostrożnie posuwał się naprzód, teraz przez zagęszczony młodniak, potem znów wzdłuż rozległych, otoczonych wysokopiennym lasem zagajników, w których blade światło gromadziło się jak w wielkich, ciemnych zbiornikach.

Nieprzytomny co jakiś czas rzeził albo zaczynał majaczyć. Kilkakrotnie zaciskał pięści i z zamkniętymi oczyma usiłował się podnieść.

Nie mało trudu kosztowało przewiezienie go przez Sprewę; trzeba było przepawić się po raz drugi, żeby zabrać kobietę i dziecko.

Wspinając się na wzniesienie, na którym leżała osada, spotkano paru mieszkańców, którzy zaraz rozgłosili wieść o nieszczęściu. Wszyscy wylegli na drogę. Na widok znajomych twarzy Lena na nowo wybuchnęła płaczem.

Nie bez kłopotów wniesiono chorego po wąskich schodach do mieszkania i od razu ułożono na łóżku. Robotnicy natychmiast zawrócili po ciało Tobiaszka.

Starzy, doświadczeni ludzie radzili zimne okłady i Lena słuchała ich gorliwie i roztropnie. Zanurzała ręczniki w lodowatej studziennej wodzie i zmieniała je, ledwie przegrzały się na rozpalonym czole nieprzytomnego. Lękliwie obserwowała oddech chorego, który wydawał się jej z każdą minutą bardziej regularny.

Wyczerpana przeżyciami tego dnia, postanowiła przespać się trochę, nie zaznała jednak spoczynku. Wszystko jedno, czy miała oczy zamknięte, czy otwarte, wciąż widziała przed sobą minione zdarzenia. Maleństwo spało. Wbrew swoim zwyczajom niewiele się o nie troszczyła. W ogóle stała się inna. Ani śladu dawnej hardości. Ba, ten chory mężczyzna z bezbarwną, błyszczącą od potu twarzą rządził nią we śnie.

Chmura zastłoniła księżycową kulę, w pokoju zrobiło się mroczno. Lena już tylko słyszała ciężki, ale równomierny oddech męża. Zastanawiała się, czy nie zapalić światła. W ciemności czuła się nieswojo. Gdy chciała wstać, poczuła ołowiany ciężar w całym ciele, powieki zamknęły się, zasnęła.

Kiedy po kilku godzinach wrócili mężczyźni z ciałem dziecka, zastali drzwi domu szeroko otwarte. Zdziwieni tym faktem weszli po schodach do mieszkania na górze, którego drzwi też były szeroko otwarte. Kilka razy wołali kobietę po imieniu, nie otrzymując odpowiedzi. Wreszcie potarli zapałkę o ścianę i w drżącym blasku światła ich oczom ukazał się straszliwy widok.

- Morderstwo, morderstwo!

Lena leżała we krwi, z twarzą nie do poznania, z roztrzaskaną czaszką.

- Zamordował żonę, zamordował żonę!

Miotali się bezradnie. Nadbiegli sąsiedzi, jeden dopadł kołyski.

- Boże święty -

i cofnął się pobladły, z przerażeniem w oczach. Maleństwo leżało z poderżniętym gardłem.

Thiel zniknął; poszukiwania, jakie podjęto jeszcze tej samej nocy nie dały rezultatu.

Na drugi dzień rano pełniący służbę dróżnik znalazł go siedzącego na torach w tym miejscu, gdzie pociąg przejechał Tobiaszka. Trzymał w ręku brązową pluszową czapkę i pieścił ją nieustannie jak coś żywego.

Dróżnik przy bloku powiadomiony o tym telegraficznie wezwał pomoc

Kilku mężczyzn próbowało teraz namówić Thiela, żeby zszedł z toru; ale na próżno.

Pociąg pospieszny, który przejeżdżał o tej porze, musiał się zatrzymać i dopiero z udziałem jego załogi udało się siłą usunąć z trasy chorego, który od razu zaczął okropnie wrzeszczeć.

Trzeba było związać mu ręce i nogi, a wezwany tymczasem żandarm odwiózł go do berlińskiego więzienia śledczego, skąd jednak już pierwszego dnia przeniesiono Thiela na oddział dla umysłowo chorych szpitala Charite. Przez cały czas trzymał w dłoniach brązową czapeczkę, strzegąc jej z zazdrosną troską.

tłumaczył: Sławomir Blaut